

# Stare dobre metody

– Nie. Już ci mówiłam, że nie przyjdę na urodziny babci. Mam wystarczająco dużo do zrobienia na miejscu, terminy mnie gonią, nie znajduję czasu na takie głupoty. Gdyby to chociaż były jakieś pełne urodziny, a tak... – manewruję na parkingu, trzymając telefon uchem.

– Ale babci byłoby miło. Kiedy ostatni raz u niej byłaś? A zadzwoniłaś chociaż?

– Mamo, ile razy mam ci powtarzać, że nie przyjadę? Szef zappełnił mi grafik spotkaniami, a na studiach zbliża się sesja, sama rozumiesz, że mam ważniejsze sprawy na głowie niż...

Samochodem wstrząsa fala uderzeniowa, przeraźliwy chrzęst zgniatanego metalu rozchodzi się na wszystkie strony, raniąc uszy.

– Szlag! Muszę kończyć. Co? Nie, nic się nie stało, tylko głupia stłuczka. Pa, mammo. I nie przyjdę. – Wsiadam z samochodu napędzona gniewem wzbierającym się we mnie od początku dnia. Nie dość, że nie dostałam podwyżki, dla której wypruwałam sobie flaki od dobrych paru tygodni i oblałam się kawą, biegnąc na jedno z nic niewnoszących spotkań, to teraz jeszcze to.

– Nie widzisz jak jeździsz?! Przecież to – milknę, gdy ze zdezelowanego Fiata, wyciągniętego chyba z poprzedniej epoki, wysiada starsza pani ubrana w kwiecistą sukienkę i obdarza mnie spojrzeniem równie chmurnym jak dym wydobywający się z maski jej samochodu.

– Przepraszam, do mnie pani mówi? Bo ja tam specem w samochodach nie jestem, wiem tyle, co mnie kto nauczył, ale zdaje mi się, że był znak. – Podążam wzrokiem za jej ręką wskazującą oskarżycielsko symbol mojej zguby – odwrócony żółty trójkąt z wściekle czerwoną ramką.

Wzdycham ciężko.

– Słuchaj babciu, bo ja za dużo czasu nie mam. Zapłacę pani za mechanika i będzie po sprawie – mówię, choć oczyma wyobraźni widzę mój portfel uszczuplający się w zastraszającym tempie. Zaczynam wyciągać go z kieszeni, ale kobieta zatrzymuje mnie gestem.

– A na co mi pieniądze, pani! Ja tam i tak za długo nie pożyczę, to i nie ma co samochodu naprawiać. – Zaczynam być naprawdę skonsternowana. Co ja mam zrobić w takiej sytuacji? Chociaż muszę przyznać, że myśl o tym, że nie będę musiała uronić grosza, jest pokrzepiająca.

– No dobrze, ale co w takim razie mamy, pani zdaniem, zrobić? Bo ja bym naprawdę wolała już móc jechać. – Starsza pani kręci głową jakby z niedowierzaniem i cmoka.

– Całe życie przed oczami, a ciągle jakby je kto gonił – mówi pod nosem, najwyraźniej uznając, że jej nie słyszę, i grzebie w torebce.

Zaczynam przestępować z nogi na nogę, moje lśniące, czerwone szpilki miarowo stukają o asfalt.

– O, tu jechałam – odzywa się w końcu kobieta, pokazując mi jakiś mały punkcik na pomiętej mapie, która okres swojej świetności przeżyła lata temu. – Jak mnie pani zawieszysz, to ja nic zgłaszać o wypadku nie potrzebuję. Ot co, zdarza się przecież – kwituje, składając mapę i otrzepując dłonie. – A co pani jak zamurowana stoi? Może tak być czy nie? – dodaje, gdy przez dłuższą chwilę nie odpowiadam. Cała ta sytuacja zaczyna być wielce niewiarygodna, jakbym była w „Ukrytej Komerze” czy innym tego typu programie. Ale ponieważ naprawdę nie mogę sobie teraz pozwolić na niepotrzebne wydatki, powoli kiwam głową.

Kobieta klaszcze uradowana i z animuszem niepodobnym osobom w jej wieku pakuje się do mojego samochodu.

– Ale chwila, przecież nie tak od razu – protestuję, ale ta zdaje się mnie nie słyszeć i już mości się na siedzeniu.

Jakimś cudem udaje mi się przepchnąć drugi samochód z drogi, a raczej to, co z niego zostało. Na szczęście mój ma tylko wgniecenie, które choć szpetne, nie będzie większym problemem podczas podróży. Siadam za kierownicą i odpalam silnik, pisząc jeszcze znajomej z pracy, że jednak nie dam rady dotrzeć na spotkanie.

– To gdzie dokładnie mam panią zawieźć? – pytam, tłumacząc sobie, że może nie zajmie mi to jednak aż tak dużo czasu.

\*\*\*

GPS trzy razy gubi zasięg, gdy przejeżdżamy przez podrzędne miejsciny, a potem całkowicie głupieje i wywozi nas w pole.

– Może jednak skorzystamy ze starych, dobrych metod? – proponuje kobiecina, wymachując mi mapą przed twarzą. Jęczę i opieram głowę o kierownicę. Dźwięk klaksonu przecina powietrze i rezonuje w pustej przestrzeni jak kręgi wzburzonej wody.

– Rób pani, co chcesz.

– Maryla jestem.

– Marzena. W takim razie, co mówią te stare, dobre metody? – daję za wygraną.

– Przede wszystkim, że musisz wyjechać z tego pola, zanim właściciel nas pogoni. A resztę już mapa nam powie. No, ruszaj śmiało.

Droga jest kręta i wyboista, za samochodem unosi się szlak wznoszącego się w powietrze pyłu, który mieni się kropelkami światła niczym chmura świetlików, a cel nadal daleki. Zwłaszcza, że Maryla zarządza postój na rozprostowanie kończyn w prawie każdym mijanym przez nas mieście.

– Znowu nogi? – pytam, kiedy każe mi skrócić w wąską, boczną uliczkę i zaparkować na jednym z nielicznych miejsc parkingowych.

Mam już serdecznie dość tego ciągłego zatrzymywania się, jakbym prowadziła jakiś międzymiejski autobus. Gdyby to ode mnie zależało, już dawno byłobyśmy na miejscu, ale zaciskam zęby i nie protestuję, bo gdy tylko nachodzi mnie na to ochota, widzę przed oczami wysoki rachunek za naprawę skasowanego samochodu. Myśl o buncie znika tak szybko, jak się pojawiła.

– Nie, nie, ale gdy mieszkałam tu za dzieciaka, stała tu taka mała cukiernia, w której sprzedawali najlepsze pączki mojego życia. Zawsze przychodziłam tu z tatą, gdy chcieliśmy uczcić jakąś specjalną okazję. A że już tu jesteśmy, pomyślałam, że miło będzie coś przekąsić.

Rusza w stronę obdrapanego szyldu z ręcznie malowanymi babeczkami, nie oglądając się za siebie i dziarsko pcha masywne, drewniane drzwi, z których odłazi biała farba, zostawiając mnie w samochodzie pełną konsternacji. Wzdycham i ruszam za nią.

Miejsce rzeczywiście jest małe, ale przytulne. Na ścianach wiszą czarno-białe zdjęcia, parapet zastawiono wiklinowymi koszykami z roślinami, nieco sprana tapeta w kwiatki nie wydaje się tu aż tak kiczowata, a wypieki za ladą pachną tak kusząco, że aż ślinka cieknie. Cukiernia sprawia wrażenie zatrzymanej w czasie i jest coś urzekającego w tym, że nie pasuje do współczesnej, zabieganej epoki.

Maryla klepie mnie w ramię.

– Możemy ruszać, kochana. Mam już wszystko, czego potrzebuję. – Otrząsam się z chwilowej zadumy, choć lądowanie w rzeczywistości nie jest zbyt miękkie i podążam za kobietą, która zdaje się aż promieniować energią, gdy tak wymachuje papierową torbą ze słodkościami, przeskakując drogę do samochodu co kilka kocich łbów.

Maryla zapewnia mnie, że nasz następny przystanek jest tylko kawałek drogi stąd i nawet nie musimy nigdzie podjeżdżać, a skoro jesteśmy już tak blisko, warto się przejść. Trzymam się kilka kroków za nią, bo buty na obcasie nie są przystosowane do przedwojennego podłoża, a stopy powoli zaczynają mnie boleć, ale kobieta z każdym pokonanym metrem odzyskuje dawne lata i gna przed siebie jak na skrzydłach wiatru.

Gdy w końcu się zatrzymujemy, ja mam zadyszkę, a ona tylko się śmieje.

– Kiedyś to były czasy, ciągle tylko by się szło i szło, a teraz z każdym spacerem coraz trudniej.

Potakuję i złapawszy głębszy oddech, rozglądam wokoło. Stoimy na blaszanym moście rozpościerającym się nad rzeką płynącą rwącym potokiem, a w dali rozpościera się widok miasteczka skąpany we wiosennym słońcu. Kłódki na moście dzwonią poruszane wiatrem, tworząc niepowtarzalną melodię – nieco nachalną, ale miłą dla ucha.

– To muzyka o miłości. Piękna, prawda? – Maryla opiera się o balustradę, pomarszczona skóra nabiera złocistego blasku, jej wzrok wędruje gdzieś poza horyzont, a ja zaczynam żałować, że porzuciłam fotografię, bo budzi się we mnie dawno zapomniana struna i podsuwa przed oczy obrazy, które tylko czekają na uwiecznienie jednym błyskiem flesza. – Tak wiele historii zapisanych w tych prostych przedmiotach. Zawsze uważałam, że to trochę tandetne. Po co w tak ostentacyjny sposób wykrzykiwać światu, że jest się w kimś zakochanym. Wydawało mi się, że to zupełnie niepotrzebne, przecież wystarczy, że kochany wie, że został obdarzony miłością. A potem lata minęły i sama stałam się jedną z tych tandetnych osób zawieszających tutaj obietnicę wieczności. – W kącikach oczu Maryli zbierają się łzy, choć na jej twarzy rozciąga się rozmarzony uśmiech.

– I co się stało? – dopytuję. – Ktoś ją zerwał?

– Czy wtedy chciałabym tu przychodzić? Zbierać swoje łzy z chodnika razem z kawałkami pięknych słów, które stały się kłamstwem? Nie. Kłódka ma się dobrze i wisi tu dumnie od dnia, w którym nasze zakochane ręce zawiesiły ją tu na dowód, że nic nie jest silniejsze od ich uczucia. Nawet czas. W tym roku byłoby 50 lat od daty naszego... – kobieta się zacina, a ja, popchnięta nagłym przymusem, łapię ją za rękę.

Pomarszczona skóra jej dłoni lepiej niż cokolwiek innego świadczy o tym, ile przeżyła, a tym gestem chcę stać się choć częścią jej przeżycia.

– No nic, chodźmy już. Zajęło nam to wystarczająco długo, czas na nas. – Maryla obraca się plecami do mostu i rusza w drogę powrotną, ale ja jeszcze przez chwilę stoję i łapczywie chłonę

to miejsce. Słodkie, ciężkie powietrze i myśl o milionach wspomnień zamkniętych w prostych przedmiotach.

Wracając, zastanawiam się ile z tych miłosnych wyznań przetrwało próbę czasu.

\*\*\*

W samochodzie panuje intymna cisza, pełna skłębionych myśli i zawahania. Włączam radio, próbując ją zagłuszyć, ale słyhać tylko szumy i postękiwania sprzętu.

– To był pomysł Alberta – odzywa się nagle moja towarzyszka w podróży. Odwracam głowę w jej stronę z wyrazem twarzy zastygłym w pytającym geście. – Ta kłódka – tłumaczy. – Zawsze podobały mi się wielkie gesty i przereklamowane sposoby wyrażania uczuć, ale był przy tym najszczerzą osobą pod słońcem i wkładał serce we wszystko, co robił. – Kobieta robi pauzę i przez kilka następnych sekund goni wzrokiem drzewa. – Oświadczył mi się, tam na tym moście i poprosił, bym zawiesiła gdzieś tę naszą kłódkę, jeśli się zgadzam. Ręce tak mi drżały, że prawie upuściłam ją do rzeki. Byliśmy wtedy tak odurzeni miłością! – śmieje się głosem suchych liści poruszanych wiatrem w ciepłą, jesienną noc, aż robi mi się milej na duszy.

A i podróż jest jakaś mniej nużąca.

– Wtedy nie było go nawet stać na pierścionek zaręczynowy. Wyobrażasz to sobie?! W tych czasach zupełnie by to nie przeszło. A nam wystarczyło.

– Zdaje się, że bardzo go kochałaś – nieśmiało komentuję, gdy Maryla kończy swoją wypowiedź.

– Nawet nie wiesz, jak! Ale to się nigdy nie zmieniło, tylko moja miłość dojrzała. Nadal go kocham, bo nie wierzę by coś mogło się nazywać miłością, jeśli by się miało skończyć w dniu śmierci. Tylko odległość jest teraz większa. – Maryla gaśnie i prawie widzę otaczającą ją melancholię.

– Przepraszam. Nie wiedziałam. – Nagle robi mi się głupio. Kobieta dotyka mnie w policzek z czułym uśmiechem na twarzy.

– Ależ nie ma za co. Życie daje i odbiera, ale trzeba z nim żyć dalej. Tęsknię, bo nie mogłabym inaczej, a i przeklinałam, że jeszcze tylu rzeczy nie było dane nam zrobić, ale to, co zrobiliśmy... tego już nikt mi nie odbierze.

Cisza otula nas swoim woalem, wypełniając przestrzeń między nami, a w moich oczach szklą się łzy.

– Skręć tu, kochana. Chciałabym odwiedzić jeszcze jedno miejsce. – Bez słowa skręcam we wskazaną ścieżkę z sercem ściśniętym w piersi, a coraz gęstsze poszycie lasu toruje drogę słońca i maluje tylko plamki światłości na tle wiekowych drzew.

Zatrzymuję się, gdy rośliny tak są do siebie przytulone, że nie da się dalej jechać.

– Obawiam się, że dalej nas nie zawiozę. Mam zawrócić? – pytam, ale Maryla nie odpowiada, a tylko wysiada z samochodu i kieruje się w stronę ściany lasu. – Wszystko w porządku? – doganiam ją w kilku krokach, a zaniepokojenie wspina mi się po plecach. Kobieta spogląda na mnie i serdecznie się uśmiecha.

– W porządku, w porządku, tylko gdzieś tu była taka ścieżka... O jest! – Klaszcze w dłonie i triumfalnym gestem wskazuje ledwo widoczny ślad w ziemi.

– Jesteś pewna, że to dobry pomysł? – wyrażam swoją wątpliwość, bo przeprawa nie wygląda na łatwą, a ja nie jestem odpowiednio ubrana do wypraw po lesie, ale Maryla mocno łapie mnie za rękę i ciągnie pomiędzy konary.

Zapadam się w miękkiej ściółce częściowo rozłożonych liści, parokrotnie prawie przewracam, potknąwszy się o wystające z ziemi korzenie, a gałęzie i gałązki wplątują mi się we włosy i smagają po twarzy. Słowem, koszmar.

Jestem o krok od zatrzymania się w tym gąszczu i odmówienia dalszej wędrówki, ale wtedy krzaki się przeredzają, dopuszczając między liście więcej światła i składają mi niema obietnicę, że jestem bliżej końca, niż mogłoby się wydawać.

Rzeczywiście niedługo potem wychodzimy z Marylą na małą plażę usytuowaną nad przejrzystym jeziorkiem turkusowej barwy.

Powietrze jest wilgotne, ale rześkie, wiatr, korzystając z miejsca i wolności, rozwiewa włosy, i kołysze dzikie trawy, a kwiaty kwitną kakofonią kolorów, usiane jak piegi na twarzy łąki, gdy słońce wzejdzie zza chmur.

Gdzieś z boku stoi pomost, który tak łagodnie wkomponowuje się w ten przedziwny, leśny krajobraz, że z początku zauważam go tylko kątem oka, skrajem świadomości. To Maryla w pełni odkrywa go przede mną, gdy stawia na nim pierwsze, niepewne kroki. Chwiejne jak

gdyby poruszała się na łódce i jeszcze nie przyzwyczała do jej kołysania, ale jednocześnie spokojnie jakby wiedziała, że skrzypiące deski będą jej wiernym oparciem.

Uświadamiam sobie, że tu nie pasuję, zamknięta w sztywnych ramach osoby, którą wypada mi być na co dzień, próbująca zawsze mieć wszystko pod pełną kontrolą i śmiertelnie przerażona tym, co czeka mnie na drodze.

A to miejsce jest zupełnym przeciwieństwem tego, co stało się w moim życiu wyznacznikiem, osią, wokół której wszystko się obracało.

Tu człowiek może tylko uznać wyższość natury, uchylić czoła przed jej zmiennym, a jednak wiecznym dziełem i z zapartym tchem obserwować jak piękne jest to, nad czym nie ma kontroli.

Ściągam szpilki i wbiegam na pomost. Deski trzeszczą pod moim ciężarem, wydają z siebie przeciągłe jęki, ale żadna z nich się nie łamie.

– Musisz być bardziej delikatna. To już staruszek – komentuje Maryla i czule poklepuje miejsce obok siebie na samym skraju pomostu. Siadam tam i idąc za jej przykładem, zanurzam nogi w wodzie, ale z piskiem je z niej wyciągam, bo jest lodowata.

– Zz– zimna – skarżę się, a kobieta się śmieje. Kurze łapki wokół jej oczu są jeszcze bardziej widoczne niż zazwyczaj, dając jasno do zrozumienia, że śmiech nie był jej w życiu obcy, wręcz przeciwnie, musiał być jej stałym kompanem.

– A czego się spodziewałaś? Ciepłutkiej temperatury, jak na termach? A może wyobraziłaś sobie, że to jakaś podwodna sauna? – tym razem to ja zaczynam się śmiać, bo Maryla ma sporo racji. Powinnam się domyślić, że nie mam co liczyć na luksusy.

Próbuję jeszcze raz, tym razem powoli. Tafla jeziora burzy się, zalewa mnie nieprzyjemna fala chłodu, ale mija, zanim staje się nie do zniesienia.

Maryla podaje mi papierową torbę.

Posyłam jej pytające spojrzenie, ale zaglądam do środka. Wielki, hojnie polany lukrem pączek pyszni się przed moimi oczami i aż ślinka mi cieknie na jego widok.

– No dalej, na co czekasz? Na specjalne zaproszenie? – naigrywa się kobieta, łypiąc na mnie pomiędzy kęsami.

Wgryzam się w ciasto, które przyjemnie ugina się pod naciskiem, nadzienie wypełnia mi usta rozkoszną słodyczą, przełamana nutką czegoś kwaśniejszego i bardziej wyrazistego, a lukier

przylepia się do warg słodką warstwą. To rzeczywiście najlepszy pączek, jaki jadłam w życiu.

Słońce powoli zachodzi, tworząc obrazy w prześwitach nieba, których odbicia malują się na jeziorze świetlistymi pasami. Ogniste czerwienie i pomarańcze ustępują miejsca bardziej wykwintnym różom i fioletem, magia dzieje się na naszych oczach i nie sposób oderwać wzroku od tego teatru barw i światła.

– Przyjeżdżałam tu z przyjaciółmi w każdej wolnej chwili – Maryla zaczyna snuć opowieść, a przyroda jakby uchyla się, by jej akompaniować. – Przez te krótkie momenty byliśmy panami tego miejsca. Świata. Wydawało nam się, że możemy wszystko i nic już nie może być w życiu piękniejsze, a jednak snuliśmy ambitne plany na przyszłość. Próbowaliśmy sobie wmówić, że na zawsze pozostaniemy tak piękni i młodzi, że życie nigdy nie ucieknie nam przez palce. I choć teraz jestem zdaje się mądrzejsza, więcej wiem i więcej przeżyłam, to zgubiłam gdzieś po drodze ten klucz, który wtedy trzymałam w dłoni. Odpowiedź na to, jak choć przez chwilę posiąść życie wieczne, sprawcą nieśmiertelność i żyć, nie mając w pamięci tego, co jutro, co potem. Głupia byłam wtedy, głupie rzeczy przychodziły mi do głowy, ale jaka byłam upita życiem! Napojona tak, że jeszcze trochę i bym pękła. A teraz patrz... – wskazuje ręką na wodę i las, niebo, i rosnące u jego stóp kwiaty, a w tym prostym geście zawiera się wszystko. Wiele więcej niż byłabym w stanie pojąć. – To samo jezioro co sprzed lat, przywitało mnie jak swoją, a jednak i ja, i ono jesteśmy już inni. Byłam tu w rozkwicie życia, jestem ku wieczora i tak się pięknie cieszę, że mogłam jeszcze raz je zobaczyć.

Maryla nie płacze, ale jej głos przepełniony jest tęsknotą tak wielką i tak silną, że aż drży. Obejmuję ją ramieniem, a rytm mego serca odnajduje ten jej.

– Widzisz? Albert i teraz nade mną czuwa, w mojej ostatniej podróży. Zesłał mi przecież ciebie, bym mogła przeżyć jeszcze raz moje życie, zanim na stałe do niego dołączę.

– Marylo, o czym ty mówisz? Jak to ostatniej, przecież jeszcze tyle... – urywam w pół zdania, bo brakuje mi odpowiednich słów, by wyrazić to, czego sama nie do końca rozumiem.

– Doktor dzisiaj dał mi diagnozę, że zostały mi tylko dni do nieba. Ręce mam już spracowane, nogi stare, ciało wymizerowane, taki czas, taka kolej rzeczy. A ty pojawiłaś się na mojej drodze, żebym nie musiała być dziś sama z duchami przeszłości w czterech ścianach mego domu. Dziękuję.



Płaczę. Łzy ciurkiem spadają mi po policzkach, spływają w dół po szyi, przelewają się niepohamowaną falą.

Nawet nie zasługuję na tę wdzięczność.

– Nie, to ja dziękuję – wykrztuszam z siebie. – Ale może jeszcze da się...może da się coś zrobić...

– Och, kochana. To już nie pora. Jestem zmęczona, niedługo odpocznę w objęciach Alberta i więcej mi nie będzie trzeba. To dobra rzecz. Znowu razem, tak, jak przykazała kłódka. Ale nie płacz, dziecko. Nie chciałam cię zasmucić.

Objęcia Maryli są ciepłe i bezpieczne, zapadam się w nich cała i choć drży mi broda, drżą ręce i nogi, grunt pod nogami jest jakby stabilniejszy. Jej uścisk jest tak pełen miłości do ludzi i świata, że aż budzący do życia.

A jednak z każdą chwilą coraz słabszy.

\*\*\*

Stoję na progu, z ręką zastygłą tuż nad drzwiami, drugą ściskając kwiaty jak tarczę mającą mnie obronić przed światem.

Nie czuję się gotowa i brak mi odwagi.

Ale i tak pukam.

Drzwi otwierają się powoli, wygląda zza nich starsza pani z balkonikiem, której siwe, rzadkie włosy tworzą swoistą aureolę wokół głowy.

– Marzenka, przyszłaś jednak! – mówi a jej poprzecinana zmarszczkami twarz na chwilę się rozświecila.

– Przyszłam, babciu. Przyszłam.